



**GEORGE
ORWELL**

**Niech żyje
aspidistra!**

**GEORGE
ORWELL**

**Niech żyje
aspidistra!**

Przekład
Mirostaw P. Jabłoński

vis-à-vis
etiuda

Kraków 2023

Tytul oryginalu: *Keep the Aspidistra Flying*

Gdybym mówił językami ludzi i aniołów, a pieniędzy bym nie miał, stałbym się jako miedź brzęcząca albo cymbał brząca. Gdybym też miał dar prorokowania i znał wszystkie tajemnice i posiadał wszelką wiedzę i wszelką [możliwą] wiarę, tak iżbym góry przenosił, a forsę bym nie miał, byłbym niczym. I gdybym rozdał na jałmużnę całą majątność moją, a ciało wystawił na spalenie, lecz kasy bym nie miał, nie bym nie zyskał. Forsa cierpliwa jest, łaskawa jest. Mamona nie zazdrości, nie szuka pokłasku, nie unosi się pychą; nie dopuszcza się bezwstydu, nie szuka swego, nie unosi się gniewem, nie pamięta złego; nie cieszy się z niesprawiedliwości, lecz współweseli się z prawdą. Wszystko znosi, wszystkiemu wierzy, we wszystkim pokłada nadzieję, wszystko przetrzyma. Tak więc trwają wiara, nadzieja i pieniądze – te trzy, z nich zaś największa jest forsą.

Biblia Tysiąclecia, 1 List do Koryntian, 13 (zaadaptowany)

I

Zegar wybił wpół do trzeciej. W małym pomieszczeniu na zapleczu księgarni pana McKechniego, Gordon – Gordon Comstock, ostatni potomek rodziny Comstocków, mający dwadzieścia dziewięć lat i już nieco zmęczony życiem – siedział niedbale przy stole, otwierając i zamykając kciukiem paczkę papierosów Player's Weights za cztery pensy.

Ding-dong innego, bardziej odległego zegara – spod „Księcia Wali” po drugiej stronie ulicy – rozeszło się w nieruchomym powietrzu. Gordon zdobył się na wysilek, usiadł prosto i włożył paczkę papierosów do wewnętrznej kieszeni. Strasznie chciał zająrać. Jednak zostały mu tylko cztery fajki. Była środa, a przed piątkiem nie mógł liczyć na żadną kasę. Byłoby cholernie źle, nie mieć nic do palenia dziś wieczorem, a także jutro.

Udręczony na zapas perspektywą jutrzejszych godzin bez szluga, wstał i ruszył do drzwi – niska, wątła, drobno-kościasta postać o niespokojnych ruchach. W marynarce brakowało środkowego guzika, jej prawy rękaw był wytarty na łokciu; kupne flanelowe spodnie były poplamione i bez fasonu. Nawet z góry było widać, że musi podzelać buty.

Kiedy wstał, w kieszeni zadzwoniły mu drobniaki. Dokładnie wiedział, ile ich jest. Pięć i pół pensa – dwa i pół pensa i trzypensówka. Zatrzymał się, wyjął żalospną trzypensówkę i przyjrzał się jej. Cholerny bezużyteczny badziew! Trzeba głupca, żeby ją wziąć! „Nie ma pan nic

przeciwko trzypensówce, prawda, sir?”, zaświergotała ta mała suka za ladą. A on oczywiście się zgodził. „Och, bynajmniej”, powiedział – głupiec, cholerny głupiec.

Mierzila go myśl, że całego majątku ma tylko pięć i pół pensa, w tym trzypensówkę, której nawet nie dało się wydać. Bo jak można cokolwiek kupić za trzy pensy? To nie jest moneta, tylko rebus. Kiedy wyjmujesz ją z kieszeni, wyglądasz na skończonego durnia, chyba że moneta znajduje się w garści bilonu. „Ile?”, pytasz. „Trzy pensy”, odpowiada sprzedawczyni. A wtedy ty grzebieś w kieszeni i wylawiasz ten absurdalny śmieć, pojedynczy, przyklejony do czubka palca jak krążek do gry w pchelki. Sprzedawczyni prycha. Momentalnie wie, że to twoje ostatnie trzy pensy. Widzisz, że szybko zerka na monetę – zastanawia się, czy nadal są na niej resztki bożonarodzeniowego puddingu¹. A ty wychodzisz dumnie, z zadartym nosem, wiedząc, że nigdy więcej nie wrócisz do tego sklepu. Nie! Nie wydamy naszej trzypensówki. Zostało dwa i pół pensa – dwa i pół pensa, aż do piątku.

Była spokojna pora po lunchu, można się było spodziewać, że prawie nie będzie klientów. Przebywał sam wśród siedmiu tysięcy tomów. Małe, ciemne, przesiąknięte zapachem kurzu i butwiejącego papieru pomieszczenie, które prowadziło do biura, wypełniały po brzegi książki, głównie wiekowe i niechodliwe. Na górnych półkach, pod sufitem, stosy tomów *quarto* nieaktualnych encyklopedii osuwały się na bok, jak warstwy trumien w zbiorowych mogiłach. Gordon rozsunał niebieską przesyconą kurzem kotarę służącą za drzwi do następnego pomieszczenia. To,

¹ Monety zapiekane w bożonarodzeniowym puddingu miały przynosić szczęście (przyp. tłum.).

lepiej oświetlone od poprzedniego, mieściło wypożyczalnię. Była jedną z tych groszowych, ulubionych przez złodziei książek. Oczywiście były tu wyłącznie powieści. Za to *jakie!* Ale to także było oczywiste.

Trzy ściany pokrywało aż pod sufit osiemset tomów, rzędy prostokątnych grzbietów, jakby pokój zbudowano z postawionych na sztorc różnokolorowych cegieł. Ułożono je alfabetycznie. Arlen, Burroughs, Deeping, Dell, Frankau, Galsworthy, Gibbs, Priestley, Sapper, Walpole. Gordon patrzył na nie z bezsilną nienawiścią. W tej chwili nienawidził wszelkich książek, a powieści najbardziej ze wszystkich. Strasznie było myśleć o tym mnóstwie zawilgłych niewydarzonych szmir zgromadzonych w jednym miejscu. Budyń, budyń z loju. Otaczało go osiemset porcji puddingu – puddingowa krypta. Myśl była przytłaczająca. Przeszedł przez drzwi do frontowej części sklepu. Idąc, przyglądał włosy. To był nawyk. W końcu przed szklanymi drzwiami mogły stać dziewczęta. Gordon nie miał imponującego wyglądu. Mierzył niecały metr siedemdziesiąt wzrostu, a ponieważ zwykle nosił nieco za długie włosy, sprawiało to wrażenie, że jego głowa jest trochę za duża w stosunku do ciała. Nigdy całkiem nie zapominał o swoim niskim wzroście. Kiedy wiedział, że ktoś na niego patrzy, trzymał się bardzo prosto, wypinał pierś i przybierał pogardliwą minę, co niekiedy zwodziło prostaczków.

Jednak na zewnątrz nikogo nie było. Frontowe pomieszczenie, w przeciwieństwie do reszty sklepu, wyglądało elegancko i kosztownie, i mieściło około dwóch tysięcy książek, pomijając te z wystawy. Z prawej strony znajdowała się szklana gablota z książeczkami dla dzieci. Gordon odwrócił wzrok od paskudnej rackhamowskiej

obwoluty; elfiątką, wzorem Wendy², płaśaly na polance pełnej dzwonek. Spojrzał przez szklane drzwi. Paskudny dzień, wiatr się wzmagal. Niebo było ołowiane, uliczny bruk śliski. Był trzydziesty listopada, dzień świętego Andrzeja. Antykwariat McKechniego znajdował się na rogu nieforemnego placu, powstałego u zbiegu czterech ulic. Po lewej stronie, ledwo widoczny od drzwi, rósł wielki wiąz, teraz bezlistny, którego gąszcz gałęzi tworzył na niebie koronkę w kolorze sepii. Naprzeciwko, obok „Księcia Walii”, ciągnął się wysoki parkan upstrzony plakatami reklamowymi markowych produktów spożywczych i leków bez recepty, namawiającymi do zepsucia sobie kiszek takim czy innym syntetycznym świństwem. Galeria monstrualnych lalkowatych twarzy – różowych, bezmyślnych, pełnych durnego optymizmu. QT Sauce, Truweet Breakfast Crisps („Dzieciaki szaleją za chrupkami śniadaniowymi”), Kangaroo Burgundy, Vitamalt Chocolate, Bovex³. Ze wszystkich Bovex gnębił Gordona najmocniej. Szczurowaty urzędniczyna w okularach, o przylizanych włosach, siedział przy stoliku w kafejce, szczerząc się znad białego kubka Bovexu. „Roland Butta lubi popijać swój posiłek Bovexem” – głosił slogan reklamowy.

Gordon skupił wzrok bliżej. Z matowej od kurzu szyby spojrzalo na niego odbicie jego twarzy. Nieladnej. Jeszcze nie trzydziestoletniej, a już zniszczonej. Bar-

² Arthur Rackham (1867–1939) – ang. ilustrator książek dla dzieci; Wendy Darling – postać ze sztuki i książki J.M. Barriego o Piotrusiu Panie (przyp. tłum.).

³ Nazwy fikcyjnych marek produktów. QT Sauce nawiązuje do HP Sauce, Kangaroo Burgundy sugeruje poślednie australijskie wino, a Vitamalt Chocolate wyrób czekoladopodobny ze słodu, Bovex zaś nawiązuje do Bovril – słonej, gęstej pasty z ekstraktu wołowego (przyp. tłum.).

dzo bladej, z nieścieralnymi zmarszczkami zgorzknienia. Zwieńczonej tym, co ludzie nazywają „mądrym” czołem – to znaczy wysokim. Miał jednak wąski spiczasty podbródek, więc całe oblicze było raczej gruszkowate niż owalne. Myszowate i rozczochrane włosy, nieżyczliwe usta, piwnozielonkawe oczy. Ponownie spojrzął w dal. Obecnie nienawidził luster. Na zewnątrz było ponuro i zimno. Tramwaj, niczym ochryply stalowy labędź, prześlizgnął się zgrzytliwie po bruku, wiatr zmiótł za nim szczątki zdeptanych liści. Gałęzie wiązu zakolysały się, wyginając się na wschód. Plakat reklamujący QT Sauce był naderwany z boku; strzęp papieru trzepotał gwałtownie, jak malutki proporzec. Nagie topole rosnące wzdłuż trotuaru w bocznej uliczce z prawej strony pochylały się mocno pod naporem wiatru. Paskudny, zimny i wilgotny wicher. Brzmiał w nim ton groźby; pierwszy gniewny pomruk zimy. W głowie Gordona z bólem rodziły się dwie linijki wiersza: Ostro jakiś wiatr... na przykład groźny wiatr? Nie, lepiej złowróźbny. Złowróźbny wiatr dmie... nie, powiedzmy, przygina. Coś tam topole – uginające się topole? Nie, lepiej gnące się topole. Asonans między gnące a złowróźbne? Nie szkodzi. Gnące się topole, świeżo obnażone.

*Złowróźbny wicher ostro dmie,
gnąc topole, świeżo obnażone⁴.*

Dobrze. Do „obnażone” koszmar nie trudno się rymuje, ale zawsze jest „strwożone”, do którego każdy poeta, poczynając od Chaucera, wysiła się, żeby znaleźć rym.

⁴ Dwie pierwsze linijki wiersza Orwella *St Andrwen's Day* (1935) (przyp. tłum.).

Jednak natchnienie opuściło Gordona. Przerzucił drobne w kieszeni. Dwa pensy, pół pensa i trzypensówka – dwa i pół pensa. Umysł miał ocieężał ze znużenia. Nie dawał sobie rady z rymami i przymiotnikami. Nie idzie, kiedy się ma w kieszeni jedynie dwa i pół pensa.

Ponownie skupił wzrok na plakatach naprzeciwno. Jebane cholerstwa. Miał prywatne powody, żeby ich nie-nawidzić. Mechanicznie ponownie przeczytał slogany. „Kangaroo Burgundy – wino dla Brytyjczyków”. „Astma ją dusi!”. „Sos QT raduje mężusia”. „Wędruj cały dzień o tabliczce Vitamaltu!”. „Masz »myślące czoło«? Przyczyną jest lupież!”. „Dzieciaki szaleją za chrupkami śniadaniowymi”. „Zapalenie dziąseł? Nie ja!”. „Roland Butta lubi popijać swój posiłek Bovexem”.

Ha! Klient – przynajmniej potencjalny. Gordon stęzał. Stojąc przy drzwiach, można było patrzeć z ukosa przez szybę wystawy, samemu nie będąc widzianym. Przyjrzał się ewentualnemu klientowi. Przyzwoicie wyglądający mężczyzna w średnim wieku, w czarnym garniturze, meloniku, z parasolem i teczką – prowincjonalny prawnik lub urzędnik miejski – zerknął na witrynę dużymi jasnymi oczami. Miał wzrok winowajcy. Gordon powiódł spojrzeniem tam, gdzie patrzył nieznajomy. Ach! Więc o to szło! Wyniuchał w odległym kącie pierwsze wydanie D.H. Lawrence’a. Oczywiście szpera w poszukiwaniu świństw. Pewnie słyszał coś o lady Chatterley. Ma złą twarz, pomyślał Gordon. Błada, obwisła, zarośnięta, o nieprzyjemnych konturach. Walińczyk, sądząc na oko – w każdym razie, nonkonformista⁵. Miał regularne worki wokół

⁵ Nonkonformiści – rel. protestanci ang., którzy w przeciwieństwie do wyznawców religii państwowej, anglikanizmu, nie przyjęli aktu uniformistycznego (Act of Uniformity) z 1662 r. (przyp. tłum.).

kącików ust, charakterystyczne dla sekciarzy. U siebie przypuszczalnie przewodniczący Ligi Czystości lub Nadmorskiego Komitetu Czujności (trzewiki na gumowych podeszwach i elektryczna latarka, wypatrywanie par całujących się na nadmorskiej promenadzie), teraz na występach w mieście. Gordon chciał, żeby tamten wszedł. Sprzeda mu egzemplarz *Zakochanych kobiet*. Ależ się rozczaruje!

Ale nie. Walijski prawnik stchórzył. Wetknął parasol pod pachę i odszedł, cnotliwie ukazując plecy. Jednak niewątpliwie wieczorem, kiedy ciemność skryje jego rumieniec, wślizgnie się do któregoś z przybytków pornografii i kupi *High Jinks in Parisian Convent* Sadie Blackeyes⁶. Gordon odwrócił się od drzwi w stronę regałów z książkami. Na półkach na lewo od wyjścia z wypożyczalni trzymane były nowe i prawie nowe pozycje – obszar jaskrawych barw mający przyciągnąć wzrok każdego, kto by zajrzał przez szybę w drzwiach. Ich nieskazitelnie lśniąca grzbiety zdawały się tęsknie wołać z półek: „Kup mnie, kup mnie”. Powieści świeżo spod prasy – wciąż niezbrukane oblubienice⁷ tęskniące za nożem do papieru, który je rozdzwierzy – oraz egzemplarze recenzyjne niczym młode wdowy, nadal w rozkwicie, choć już nie prawiczki, a tu i ówdzie, w zestawach po pół tuzina, te żalosne staropanięskie „resztówki”, nadal z nadzieją broniące swojego długo pielęgnowanego dziewictwa. Gordon odwrócił spojrzenie od „resztówek”. Przywoływały złe wspomnie-

⁶ Sadie Blackeyes – wł. Pierre Mac Orlan, ur. jako Pierre Dumarchey (1882–1970), fr. pisarz i autor piosenek.

⁷ Gordon nawiązuje do początku *Ody na urnę grecką* Johna Keatsa – „Oblubienico miu nieskalana...”, przekł. Z. Przesmycki Miriam (przyp. tłum.).

nia. Jedynej nieszczęsnej książeczki, którą opublikował dwa lata temu, sprzedano dokładnie sto pięćdziesiąt trzy egzemplarze, po czym została „zresztkowana”; nie szła nawet na wyprzedazy. Minał nowości i zatrzymał się przed półkami, które biegły do tamtych pod kątem prostym i dźwigały kolejne używane książki.

Na prawo znajdowały się regały z poezją. Przed sobą miał prozę, istny galimatias. Tomy były posortowane od góry do dołu, czyste i drogie na poziomie wzroku, tanie i zszargane pod sufitem i przy podłodze. We wszystkich tutejszych księgarniach toczą się darwinowskie zmagania, w których dzieła żywych autorów grawitują ku poziomowi wzroku, a tych martwych ku dołowi bądź ku górze – w dół do Gehenny lub w górę na tron, ale zawsze z dala od miejsca, w którym mogłyby zostać zauważone. Na półkach przy podłodze gnili w ciszy „klasycy”, wymarłe potwory epoki wiktoriańskiej. Scott, Carlyle, Meredith, Ruskin, Pater, Stevenson – na szerokich niechlujnych grzbietach ledwo można było odczytać nazwiska. Na samej górze, niemal poza zasięgiem wzroku, drzemwały opasłe biografie książąt. Pod nimi, wciąż chodliwa, w związku z tym na wyciągnięcie ręki, znajdowała się literatura „religijna” – chaotycznie stłoczone wszystkie sekty i wyznania. *The World Beyond* autora *Spirit Hands Have Touched Me. Life of Christ. Jesus the First Rotarian* dziekana Farrara. Najnowsza książka ojca Hilaire Chestnuta o agitacji kościoła rzymskokatolickiego. Religia zawsze się sprzedaje, zakładając, że jest wystarczająco naiwna. Poniżej, dokładnie na wysokości wzroku, współczesne pozycje. Najnowszy Priestley. Liche przedruki „średniaków”. Podnoszący na duchu „humor” Herberta, Knoxa i Milne’a. Także trochę intelektualnych pozycji. Po parę powieści Hemingwaya

i Virginii Woolf. Inteligentne pseudostracheyowskie lekostrawne biografie. Snobistyczne wyrafinowane książki o uznanych malarzach i poetach autorstwa tych bogatych młodych dupków, którzy z taką łatwością prześlizgują się z Eton do Cambridge, a z Cambridge do literackich czasopism.

Tępy wzrokiem patrzył na ścianę książek. Nienawidził ich wszystkich, starych i nowych, intelektualnych i banalnych, przemądrzanych i wesolkowatych. Sam ich widok uświadamiał mu własną twórczą niemoc. Rzekomo „pisarz”, nawet nie był w stanie „pisać”! To nie była jedynie kwestia bycia niepublikowanym; nie tworzył nic lub prawie nic. A wszystkie te szmiry zawałające półki – cóż, przynajmniej istniały, były swego rodzaju osiągnięciem. Nawet Delle i Deepingi produkują rocznie przynajmniej akr druku. Jednak najbardziej nienawidził bufonowatych „kulturalnych” książek. Krytycznych i beletrystycznych. Takich, które tamte bogate młode dupki z Cambridge piszą niemal mimochodem – i jakie mógłby pisać Gordon, gdyby miał nieco więcej pieniędzy. Forsa i kultura! W takim kraju jak Anglia nie da się bez pieniędzy być kulturalnym człowiekiem, tak jak nie możesz wstąpić do Cavalry Club. W tym samym odruchu, który każe dziecku szturchać kiwający się ząb, wyjął snobistycznie wyglądający tom – *Some Aspects of the Italian Baroque*⁸ – otworzył go, przeczytał akapit i z mieszaniną wstrętu i zawiści wsunął na miejsce. Ta druzgocząca wszechwiedza! Chorobliwe okularnicze wyrafinowanie! Bo poza wszystkim co się za tym kryje, oprócz pieniędzy? Kasa na odpowiednie wykształcenie, forsa dla wpływowych przyjaciół, pieniądze na

⁸ Pozycja fikcyjna (przyp. tłum.).

wypoczynek i spokój ducha, na podróże do Włoch. Mamona pisze książki, mamona je sprzedaje. Nie dawaj mi cnotliwości, Panie, daj mi kasę, tylko kasę.

Brzęknął monetami w kieszeni. Miał prawie trzydziestkę na karku i niemal niczego nie dokonał; wydał jedynie ten żalosny tomik poezji, który okazał się kompletnym fiaskiem. A od tamtej pory, przez całe dwa lata, błądził w labiryncie okropnego utworu, który ani trochę nie posunął się naprzód i który, jak był tego świadom w okresach jasności umysłu, nigdy nie posunie się ani o krok dalej. Z możliwości „pisania” odzierał go brak pieniędzy, zwykły niedostatek szmalu. Trzymał się tego poglądu, jak artykułu wiary. Czy bez forsy, pozwalającej oddać się temu całym sercem, można napisać choćby groszową nowelkę? Inwencja, energia, dowcip, styl, wdzięk – to wszystko powinno być opłacone żywą gotówką.

Tym niemniej patrząc wzdłuż pólek, czuł lekką poaciechę. Bardzo wiele książek było wyblakłych i nieczytelnych. W końcu wszyscy jedziemy na jednym wózku. *Memento mori*. Was, mnie i snobistycznych młodziaków z Cambridge czeka to samo zapomnienie – chociaż niewątpliwie w wypadku tych przemądrzałych gówniarzy z Cambridge będzie to trwało dużo dłużej. Spojrzał na spłowiałych „klasyków” u swoich stóp. Martwi, wszyscy martwi. Carlyle i Ruskin i Meredith i Stevenson – wszyscy nie żyją. Niech gniją z Bogiem. Spojrzał na wyblakłe tytuły. *Collected Letters of Robert Louis Stevenson*. Ha, ha! Dobrze sobie. *Collected Letters of Robert Louis Stevenson*! Górna krawędź czarna od kurzu. Prochem jesteś, w proch się obrócisz. Gordon kopnął płócienny grzbiet Stevensona. Jesteś tam, stary oszuście? Jesteś tak martwy, jak tylko może być Szkot.

Dzyń! Dzwonek nad drzwiami. Gordon się odwrócił. Dwie klientki do wypożyczalni.

Do środka, grzebiąc w wiklinowym koszyku, wślizgnęła się zdeprymowana zgarbiona kobieta z niższej klasy wyglądająca jak ubłocona kaczka niuchająca wśród odpadków. Za nią, podrygując, podążała mała pulchna kobietka ze średniej klasy średniej, zarumieniona, niosąca pod pachą egzemplarz *Sagi rodu Forsyte'ów* – tytułem na zewnątrz, żeby przechodnie brali ją za intelektualistkę.

Gordon porzucił kwaśną minę. Powitał przybyłe ze swojską zażyłością domowego lekarza zarezerwowaną dla klientów wypożyczalni.

– Witam, pani Weaver. Witam, pani Penn. Cóż za straszliwa pogoda!

– Okropna! – przyznała pani Penn.

Odsunął się, żeby pozwolić im wejść. Pani Weaver odwróciła do góry nogami swój koszyk, wytrząsając na podłogę mocno zaczytany egzemplarz *Silver Wedding* Ethel M. Dell. Na jego widok pani Penn błysnęła jasnymi ptasimi oczami. Za plecami pani Weaver uśmiechnęła się protekcyjnie do Gordona, jak intelektualistka do intelektualisty. Dell! Samo dno! Cóż za książki czytają te niższe klasy! Odpowiedział jej porozumiewawczym uśmiechem. Przeszli do wypożyczalni, uśmiechając się do siebie – intelektualista do intelektualistki.

Pani Penn położyła na stole *Sage rodu Forsyte'ów* i zwróciła do Gordona swoją wróblą pierś. Zawsze była wobec niego uprzejma. Zwracała się do niego per „panie Comstock”, chociaż był tylko sprzedawcą, i prowadziła z nim literackie rozmowy. Łączyło ich intelektualne wolno-myślicielstwo.

– Mam nadzieję, że podobała się pani *Saga rodu Forsyte'ów*, pani Penn.

– Ta książka jest absolutnie *cudownym* osiągnięciem, panie Comstock! Uwierzy pan, że przeczytałam ją czwarty raz? Epopeja, prawdziwa epopeja!

Pani Weaver myślała wśród książek, zbyt nierozgarnięta, żeby zauważyć, że stoją w porządku alfabetycznym.

– Nie wiem, co se wziąć w tym tygodniu, czego nie miałam – mamrotała niechlujnie. – Moja córka, to ona mówi, cobym spróbowała Deepinga. Ona to uwielbia Deepinga, ta moja córka. Ale mój zięć to jest teraz bardziej za Burroughsem. Nie wiem, nie jestem pewna.

Na wzmiankę o Burroughsie pani Penn zmarszczyła brwi. Znacząco odwróciła się plecami do pani Weaver.

– Jak mi się zdaje, panie Comstock, w Galsworthym jest coś *wielkiego*. Jest taki epicki, taki uniwersalny, a jednocześnie tak głęboko angielski duchem, taki *ludzki*. Jego książki to prawdziwe dokumenty o *ludziach*.

– Także Priestley – powiedział Gordon. – Uważam Priestleya za nadzwyczaj dobrego autora, a pani?

– Och tak! Taki wielki, epicki, taki ludzki! I tak nadzwyczaj angielski.

Pani Weaver zaciśnęła wargi. Za nimi znajdowały się trzy pojedyncze poślółkle zęby.

– Myślę, że chyba najlepiej będzie, jak se wezme jeszcze jedną Dell – stwierdziła. – Macie jeszcze jakieś jej książki, co? Lubię se poczytać Dell, muszę przyznać. Mówię se do córki, tak jej mówię: „Zatrzymaj sobie tych Deepingów i Burroughsów. Daj mi Dell”, mówię.

Ding, dong, Dell! Książęta i szpicruty! Wzrok pani Penn sygnalizował intelektualną ironię. Gordon odwza-

jemnił jej sygnał. Trzeba trzymać z panią Penn! To dobra stała klientka.

– Och, z pewnością, pani Weaver. Mamy całą półkę z Ethel M. Dell. Chciałaby pani *Desire of his Life*? A może już to pani czytała? W takim razie może *The Altar of Honour*?

– Zastanawiam się, czy macie najnowszą książkę Hugh'a Walpole'a – wtrąciła się pani Penn. – W tym tygodniu jestem w nastroju na coś epickiego, coś *wielkiego*. Co do Walpole'a, widzi pan, to uważam go za naprawdę wspa-
niałego pisarza, stawiam go zaraz na drugim miejscu po Galsworthym. Jest w nim coś wielkiego. A jednak, jest w tym taki ludzki.

– I tak głęboko angielski – rzekł Gordon.

– Och, oczywiście! Bardzo angielski!

– Chyba weznie se jeszcze raz *The Way of an Eagle* – zdecydowała w końcu pani Weaver. – *The Way of an Eagle* nigdy się człękowi nie znudzi, co nie?

– Z pewnością; jest zdumiewająco popularna – dyplomatycznie stwierdził Gordon, patrząc na panią Penn.

– Och, *zdumiewająco*! – ironicznie zawtórowała mu pani Penn, spoglądając na niego.

Wziął od nich po dwa pensy i wypuścił je, obie szczęśliwe, panią Penn z *Rogue Herries* Walpole'a, a panią Weaver z *The Way of an Eagle*.

Potem wrócił do poprzedniego pomieszczenia i do półek z poezją. Darzył je melancholijną fascynacją. Była tam jego nieszczęsna książka – oczywiście pod sufitem, wysoko wśród niechodliwych pozycji. *Myszy* Gordona Comstocka, marna cienka ósemka w formacie papieru kancelaryjnego, w cenie trzech szylingów i sześciu pensów, ale teraz obniżonej do szylinga. Z trzynastu kpów, którzy ją recenzowali (a dodatek literacki „The Times” uznał po-

zycję za „nadzwyczaj obiecującą”), żaden nie zauważył niezbyt wyszukanego żartu, kryjącego się w tytule. A w ciągu dwóch lat jego pracy w księgarni McKechniego ani jeden klient, dosłownie, ani jeden, nigdy nie zdjął *Myszy* z półki.

Pólek z poezją było piętnaście czy dwadzieścia. Gordon przyglądał się im kwaśno. W większości badziewie. Nieco powyżej poziomu wzroku, już w drodze do nieba i zapomnienia, znajdowali się przebrzmiali poeci, gwiazdy jego wczesnej młodości. Yeats, Davies, Housman, Thomas, De la Mare, Hardy. Zgasłe gwiazdy. Pod nimi, dokładnie na wysokości wzroku, stały petardy bieżącej chwili. Eliot, Pound, Auden, Campbell, Day Lewis, Spender. Zamokłe petardy, to ta grupa. Zgasłe gwiazdy na górze, zamokłe fajerwerki na dole. Czy jeszcze kiedykolwiek będziemy mieli pisarza wartego lektury? Ale Lawrence był spoko, a Joyce nawet lepszy, zanim ześwirował. A jeśli pojawiłby się pisarz wart czytania, to czy poznalibyśmy się na nim, tak przytłoczeni szmirą?

Dzyń! Dzwonek nad drzwiami. Gordon się obrócił. Kolejny klient.

Lekkim, jakby kobiecym krokiem wszedł dwudziestolatek o złocistych włosach i wargach jak wiśnie. Forsiasty, oczywiście. Otaczała go złota aura szmalu. Nigdy wcześniej tu nie zawitał. Gordon przybrał laskawie-służalczą minę, zarezerwowaną dla nowych klientów. Wypowiedział zwykłą formułkę powitania:

– Dzień dobry. Czym mogę służyć? Szuka pan jakiejś konkretnej książki?

– Och nie, raczej nie. – Pedziowaty, grasejujący głos. – Mogę się po płostu łozejrzeć? Nie mogłem się oprzeć waszej witłynie. Mam stłaszliwą słabość do księgań! Więc po płostu wszedłem – hi, hi!

No to wypad, cioto. Gordon uśmiechnął się kulturalnie, jak bibliofil do bibliofila.

– Ależ proszę, oczywiście. Miło nam, gdy klienci się rozglądają. Interesuje się pan może poezją?

– Och, oczywiście! *Uwielbiam* wiesz!

Jasna sprawa! Parszywy mały snob. Jego strój miał w sobie coś lekko artystycznego. Gordon zdjął z półki z poezją cienki czerwony tomik.

– To dopiero co wyszło. Być może pana zainteresują. To tłumaczenia – coś raczej niezwykłego. Przekłady z bułgarskiego.

To było bardzo sprytne. Teraz zostaw go samemu sobie. To właściwy sposób postępowania z klientami. Nie popędzać ich; pozwolić im kartkować przez jakieś dwadzieścia minut; potem czują się zawstydzeni i coś kupują. Gordon dyskretnie przesunął się ku drzwiom, trzymając się z dala od geja; jednak swobodnie, z ręką w kieszeni, z nonszalancją właściwą światowcowi.

Oślizgła ulica na zewnątrz wyglądała szaro i ponuro. Skądś zza rogu dobiegł stukot kopyt; zimny, pusty dźwięk. Porwane przez wiatr ciemne kolumny dymu z kominów skręcały się i spływały po spadzistości dachów. Ach!

*Złowróżbny wicher ostro dmie,
gnąc topole, świeżo obnażone.
A z kominów ciemne wstążki
Wirują tamta-ramta (coś jak „męty”) strwożone.*

Dobre. Ale natchnienie uleciało. Spojrzenie Gordona padło ponownie na plakaty reklamowe po drugiej stronie ulicy.

Niemal chciało mu się z nich śmiać, były takie kiepskie, bez ikry, tak niezachęcające. Jak mogły kogoś skusić! Niczym sukuby z krostowatymi plecami. Mimo to ogromnie go przynębiały. Smród pieniędzy, wszędzie smród forsy. Zerknął na pedzia, który odpłynął od pólek z poezją i wyjął wielki, drogi album o rosyjskim balecie. Trzymał go delikatnie w różowych niechwytnych łapkach, jak wieiórka orzech, przyglądając się uważnie zdjęciom. Gordon znalazł ten typ. Nadziany „artystyczny” młody gostek. Sam właściwie nie artysta, ale fan sztuki; bywalec malarskich atelier, plotkujący o skandalach. Jednak całkiem miły chłopak, przy całej swojej pedałowatości. Skórę na karku miał jedwabście gładką, jak wnętrze muszli. Nie można mieć takiej skóry przy dochodach poniżej pięciuset funtów rocznie. Miał swego rodzaju wdzięk, urok, jak wszyscy dziani ludzie. Forsa i wdzięk; nie da się ich rozdzielić.

Gordon pomyślał o Ravelstonie, swoim czarującym bogatym przyjacielu, wydawcy „Antychrysta”, człowieku, którego nadzwyczajnie lubił, ale nie widywał częściej niż raz na dwa tygodnie; i o Rosemary, swojej dziewczynie, która go kochała – uwielbiała go, jak mówiła – a która mimo to nigdy z nim nie spała. Ponownie, forsa; wszystko to kasa. Za wszelkie stosunki międzyludzkie trzeba płacić. Jeśli nie masz pieniędzy, mężczyźni będą mieli cię gdzieś, kobiety nie będą cię kochały; to znaczy nie będą dbać o ciebie czy cię kochać w takim stopniu, jaki się liczy. I właściwie mają rację! Gdyż bez forsy jesteś odstręczający. Gdybym mówił językami ludzi i aniołów... Jeśli jednak nie mam forsy, to nie mówię językami ludzi i aniołów.

Znowu spojrzął na plakaty. Naprawdę ich teraz nienawidził. Na przykład ten o Vitamalcie! „Wędruj cały dzień o tabliczce Vitamaltu!”. Młodzi ludzie, chłopak

i dziewczyna, w odprasowanych turystycznych strojach, z włosami malowniczo zmierzwionymi przez wiatr, wspinający się na przelaz w płocie na tle krajobrazu Sussex. Twarz tej dziewczyny! Ta cholernie promienna, radosna chłopczyca! To dziewczyna, która przepada za zdrową zabawą. Wysmagana wiatrem. Obcisłe szorty khaki, co nie oznacza, że można ją uszczypnąć w tyłek. A obok tej pary – Roland Butta. „Roland Butta lubi popijać swój posiłek Bovexem”. Gordon przyglądał się temu z nie-nawistną zażyłością. Ta idiotycznie uśmiechnięta twarz, gęba zadowolonego z siebie szczura, wypomadowane czarne włosy, głupie okulary. Roland Butta, spadkobierca stuleci, zwycięzca spod Waterloo, Roland Butta, współczesny człowiek, jakim chcą go widzieć jego panowie. Potulny mały tucznik siedzący w pieniężnym chlewiku i popijający Bovex.

Przesunęły się twarze, poślódkle od wiatru. Na placu zadudnił tramwaj, a zegar nad „Księciem Wali” wybił trzecią. W stronę sklepu wlokła się para staruchów, jakiś włóczęga czy żebrak z żoną, w długich wyświnionych płaszczach sięgających niemal do ziemi. Sądząc z wyglądu, złodzieje książek. Lepiej mieć oko na skrzynki na zewnątrz. Facet zatrzymał się przy krawężniku, kilka metrów dalej, podczas gdy kobieta podeszła do drzwi. Otworzyła je pchnięciem i poprzez strąki siwych włosów spojrzała na Gordona z pewnego rodzaju nieżyczliwą nadzieją.

– Kupujecie ksiunżki? – zapytała ochryple.

– Czasami. Zależy jakie.

– Mam śliczne ksiunżki.

Weszła, zatraskując za sobą drzwi. Homoś z odrazą zerknął przez ramię i odsunął się o krok czy dwa, w róg pomieszczenia. Starucha wyjęła spod płaszcza mały za-

tluszczony worek. Z poufalością przysunęła się do Gordona. Było ją czuć starymi, bardzo starymi skórkami z chleba.

– Weźmiesz je? – zapytała, ściskając wylot worka. – Tylko pół korony za wszystkie.

– Pokaż, co to za książki.

– Są śliczne – wysapała, pochylając się, żeby rozsypać worek, nagle wydzielając przy tym bardzo mocny zapach chlebowych skórek.

– Masz! – powiedziała, niemal ciskając Gordonowi w twarz stertę brudnych książek.

Były to powieści Charlotte M. Yonge, wydane w 1884 roku i wyglądające tak, jakby od wielu lat na nich sypiano. Gordon cofnął się z nagłą odrazą.

– Nie możemy ich kupić – stwierdził krótko.

– Nie możecie? Dlaczego nie możecie ich kupić?

– Bo są dla nas bezużyteczne. Nie możemy sprzedawać czegoś takiego.

– To po coś mi kazał wyjmować je z worka? – wściekle zapytała starucha.

Gordon obszedł ją, żeby uniknąć jej zapachu, i w milczeniu przytrzymał otwarte drzwi. Nie ma sensu dyskutować. Podobni ludzie przychodzą do księgarni jak dzień długi. Stara wyszła, mamrocząc, wyrażając niezyczliwość zgarbieniem pleców, i dołączyła do męża. Tamten przystanął przy krawężniku, żeby się wykasłać tak gorliwie, że było go slychać przez drzwi. Gruda flegmy, jak mały biały język, wolno wyloniła się spomiędzy jego warg i została wypłuta do rynsztoka. Potem para staruchów powlekła się dalej, podobna do żuków w długich wytłuszczonych płaszczach, które zasłaniały wszystko, z wyjątkiem ich stóp.

Gordon przyglądał się, jak odchodzą. Byli zwykłymi odpadkami. Ubocznymi produktami boga forsy. Po całym Londynie wałęsały się dziesiątki tysięcy podobnych starych kreatur jak plugawe robactwo pełzające do grobu.

Gapił się na nieciekawą ulicę. W takiej chwili wydawało mu się, że na takiej ulicy jak ta, w takim mieście jak to każde istnienie musi być bezsensowne i nieznośne. Doznanie silnego uczucia rozpadu, gnicia, które jest endemiczne dla naszych czasów. W jakiś sposób łączyło się ono z reklamowymi plakatami z przeciwka. Teraz patrzył bardziej dociekliwym wzrokiem na metrowej wielkości uśmiechnięte twarze. W końcu było tam coś więcej niż tylko zwykła śmieszność, chciwość i pospolitość. Roland Butta szczerzy się do ciebie, najwyraźniej optymistycznie, błyskając sztucznymi zębami. Ale co się kryje za tym uśmiechem? Samotność, pustka, zapowiedź zguby. Czy nie widzisz, jeśli wiesz, jak patrzeć, że za tym przyznanym samozadowoleniem, za tym chichoczącym banałem pełnego brzucha nie ma nic, oprócz przerażającej pustki, sekretnej rozpacz? Potężne pragnienie śmierci współczesnego świata. Samobójcze pakt. Głowy w piecykach gazowych w samotnych garsonierach. Kondomy i pigułki na spędzenie płodu. I pogłosy przyszłych wojen. Nieprzyjacielskich samolotów lecących nad Londynem; głębokie, groźne buczenie ich śmigieł, druzgoczący grzmot bomb. Wszystko to jest wypisane na twarzy Rolanda Butty.

Nadchodzą kolejne klientki. Gordon cofnął się, usłusznie grzeczny.

Zabrzęczał dzwonek nad drzwiami. Halaśliwie wpłynęły dwie kobiety z wyższej klasy średniej. Jedna różowa, ponętna, jakieś trzydzieści pięć lat, o zmysłowym biuście

kipiącym z wiewiórczego futra, rozsiewająca nadzwyczaj kobiecą woń fiołków parmeńskich; druga w średnim wieku, żylasta, przypuszczalnie zasuszona w Indiach. Tuż za nimi, przepraszająco, jak kot wślizgnął się śniady, niechlujny i nieśmiały młodzieniec. Był jednym z najlepszych klientów księgarni – drżący samotny osobnik, niemal zbyt trwożliwy, by się odezwać, który za sprawą jakiejś dziwacznej manipulacji zawsze golił się wczoraj.

Gordon powtórzył swoją formułkę:

– Dzień dobry. Czym mogę służyć? Szukacie panie jakiejś konkretnej książki?

Ta o ponętnej twarzy przytłoczyła go uśmiechem, ale zasuszona postanowiła uznać pytanie za zuchwalstwo. Ignorując Gordona, pociągnęła zmysłową do pólek obok nowości, gdzie trzymane były pozycje o psach i kotach. Natychmiast obie zaczęły zdejmować książki z regału i głośno mówić. Ta o zamarynowanej twarzy miała głos wojskowego instruktora musztry. Bez wątpienia była żoną pułkownika albo wdową po takowym. Gej, nadal pograżony w albumie o rosyjskim balecie, nieznacznie się odsunął. Jego mina mówiła, że wyjdzie z księgarni, jeśli jego spokój ponownie zostanie zakłócony. Nieśmiały młodzieniec znalazł już drogę do pólek z poezją. Obie damy były dosyć częstymi klientkami księgarni. Zawsze chciały oglądać książki o psach i kotach, ale w istocie nigdy niczego nie kupowały. Pozycji o psach i kotach były dwie pełne półki. „Babski kącik”, nazywał to stary McKechnie.

Zjawiała się kolejna klientka, do wypożyczalni. Brzydka dwudziestoletnia dziewczyna, bez kapelusza, w białym fartuchu, o ziemistej, głupkowatej, szczerzej twarzy i w silnych okularach, które zniekształcały jej oczy. Była

sprzedawczynią w aptece. Gordon przybrał swojski biblioteczny sposób bycia. Uśmiechnęła się do niego i niezgrabnym krokiem, jak niedźwiedź, poszła za nim do wypożyczalni.

– Jaką książkę chciałaby pani tym razem, panno Weeks?

– Cóż... – ścisnęła przód kitla. Jej zniekształcone, czarne jak melasa oczy patrzyły ufnie w jego stronę. – Cóż, naprawdę chciałabym jakąś dobrą, namiętą historię miłosną. Wie pan – coś *współczesnego*.

– Coś współczesnego? Na przykład coś Barbary Bedworthy? Czytała pani *Almost a Virgin*?

– Och nie, nie jej. Jest zbyt głęboka. Nie znoszę głębokich książek. Ale chcę coś... cóż, wie pan... *nowoczesnego*. Problemy seksualne i rozwód, i takie tam. *Pan* wie.

– Współczesna, ale niezbyt głęboka – powiedział Gordon, jak prosty człowiek do prostego człowieka.

Poszukał wzrokiem wśród gorących współczesnych historii miłosnych. W wypożyczalni było ich co najmniej trzysta. Z frontowego pomieszczenia dobiegały głosy dwóch kobiet z wyższej klasy średniej, tej ponętnej i tej zamarynowanej, rozmawiających o psach. Zmysłowy głos entuzjasmował się zdjęciami pekińczyka, taki mały piesek, jak aniołek, o ogłomnych smutnych oczach i malutkim czalnym nosku – och, jaki śliczniutki! Jednak głos zamarynowanej – tak, niewątpliwie wdowy po pułkowniku – dowodził, że pekińczyki są ckliwe. Ona woli psy z ikrą – takie, które będą walczyły, stwierdziła; nienawidzi tych lza-wych pieścuchów, powiedziała.

– Nie masz duszy, Bedelio, nie masz duszy – rozległ się płaczliwy głos ponętnej.

Ponownie brzęknął dzwonek u drzwi. Gordon podał aptekarce *Seven Scarlet Nights*⁹ i zapisał książkę na jej karcie. Wyjęła z kieszeni fartucha sfatygowaną portmonetkę i zapłaciła mu dwa pensy.

Wrócił do pierwszego pomieszczenia. Pedzio odłożył oglądany album na niewłaściwą półkę i zniknął. Weszła chuda, energiczna kobieta o prostym nosie, praktycznie ubrana i z pince-nez w złotej oprawie – być może belferka, na pewno feministka – i zażądała historii ruchu sufrażystek, autorstwa pani Wharton-Beverley. Ze skrywaną radością Gordon odpowiedział, że jej nie mają. Przeszyła jego męską niekompetencję świdrującym spojrzeniem i wyszła. Młody, chudy mężczyzna, jak długonogi ptak z lepkiem wetkniętym pod skrzydło, stał przepraszając w rogu z twarzą schowaną w *Collected Poems* D.H. Lawrence’a.

Gordon czekał przy drzwiach. Biedny, ale dystyngowany starzec, z nosem o truskawkowej barwie i w ciepłym szalu koloru khaki na szyi, gmerał na zewnątrz w pudle z książkami po sześć pensów.

Dwie kobiety z wyższej klasy średniej nagle wyszły, zostawiając na stole bałagan pootwieranych książek. Ta o ponętnej twarzy rzuciła za siebie tęskne spojrzenia, ale zasuszonego odciągnęła ją dalej, zdecydowana niczego nie kupować. Obie damy hałaśliwie wyszły, ignorując Gordona.

Przyglądał się ich odzianym w futra plecom z wyższej klasy średniej oddalającym się ulicą. Starszy mężczyzna o truskawkowym nosie mówił sam do siebie, obmacując

⁹ *Seven Scarlet Nights*, historia ruchu sufrażystek, autorstwa pani Wharton-Beverley – książki i autorka wymyślone przez Orwella (przyp. tłum.).

książki. Przypuszczalnie niespełna rozumu. Zwędziłby coś, gdyby go nie obserwować. Wiał zimniejszy wiatr, osuszając uliczną maź. Czas zapalić światła. Naderwany strzęp plakatu reklamującego QT Sauce zatrzepotał gwałtownie, jak pranie na sznurze. Ach!

*Złowróżbny wichur ostro dmie,
gnąc topole, świeżo obnażone,
z kominów zaś spływają wiry
wstażki dymu, porwane wiatru tchem,
ozięble furkoczą strzępy plakatów.*

Nieźle, całkiem nieźle. Ale nie chciał kontynuować – w istocie, nie był w stanie. Pogmerał wśród monet w kieszeni, ale nie zabrzęczał nimi, żeby młody człowiek tego nie usłyszał. Dwa i pół pensa. Jutro cały dzień bez papierosów. Bolały go kości.

Pod „Księciem Wali” zapaliły się światła. Będą szorowali bar. Dziadyga o truskawkowym nosie czytał Edgara Wallace’a z pudła za dwa pensy. W oddali zadudnił tramwaj. W pokoju na górze pan McKechnie, który rzadko schodził do księgarni, drzemał przy gazowym kominiku, białowłosy i białobrody, z tabakierką pod ręką, nad oprawnym w cielęcą skórę folio *Travels in the Levant* Middletona¹⁰.

Chudy, młody facet nagle pojawił się, że jest sam, i rozejrzył się z poczuciem winy. Bywalec księgarni, nigdy nie przebywał w żadnej z nich dłużej niż dziesięć minut. Pożądliwa namiętność do książek nieustannie walczyła w nim z obawą, że sprawia kłopot. Po dziesięciu minutach w księ-

¹⁰ Tytuł i autor zmyśleni (przyp. tłum.).

garni stawał się niespokojny, czuł, że to *de trop*, i pierzchał, kupiwszy ze zwykłej nerwowości byle co. Bez słowa wyciągnął przed siebie egzemplarz wierszy Lawrence’a i niezdarnie wyjął z kieszeni trzy floreny. Podając je Gordonowi, upuścił jedną monetę. Schylili się po nią jednocześnie, zderzając się głowami. Młodzieniec cofnął się, niezdrowo się rumieniąc.

– Zapakuję ją panu – powiedział Gordon.

Jednak nieśmiały młody człowiek pokręcił głową – tak mocno się jękał, że w miarę możliwości unikał mówienia. Przycisnął do siebie książkę i wyslizgnął się na zewnątrz, sprawiając wrażenie, że popełnił jakiś haniebny uczynek.

Gordon został sam. Powędrował z powrotem do drzwi. Truskawkonosy obejrzał się przez ramię, pochwycił spojrzenie Gordona i odszedł z niczym. Właśnie miał wsunąć do kieszeni Edgara Wallace’a. Zegar nad „Księciem Wali” wybił kwadrans po trzeciej.

Ding-dong! Kwadrans po trzeciej. Światła zapalają się o wpół do czwartej. Cztery godziny i trzy kwadranse do zamknięcia. Pięć i kwadrans do kolacji. Dwa i pół pensa w kieszeni. Jutro bez papierosa.

Nagle Gordona ogarnęło przemożne, nieopanowane pragnienie, żeby puścić sobie dymka. Wcześniej postanowił nie palić tego popołudnia. Zostały mu tylko cztery fajki. Trzeba je zachować na wieczór, kiedy miał zamiar „pisać”; tak samo nie potrafił „pisać” bez tytoniu, jak bez powietrza. Tym niemniej musiał zająrać. Wyjął swoją paczkę Player’s Weihgts i wysunął karłowatego szluga. To było zwykle głupie folgowanie słabości; oznaczało o pół godziny krótsze wieczorne „pisanie”. Ale nie mógł się oprzeć. Ze wstydliwą radością wciągnął do płuc tytoniowy dym.